

There are no translations available.



autor: Smednir

Znalezienie naszych kampanijnych kamratów, towarzyszy niedoli z 7-ego pułku piechoty z Florydy nie było zadaniem prostym. Kilka miesięcy wcześniej byliśmy umówieni, że nasza nieliczna kompania piechoty z Polski wzmocni szeregi żołnierzy z Florydy. Przyjęto nas bardzo entuzjastycznie. Dzięki uprzejmości weteranów, zostaliśmy solidnie doposażeni, dozbrojeni i zajęliśmy swoje miejsce w szyku i obozowisku. Ja z racji doświadczenia i zasług pełniłem funkcje kaprała. Parszywa rola...

Trudno było zliczyć obozowiska poszczególnych pułków, brygad, dywizji... Można było pogubić się w mrowisku namiotów, rozsianych na olbrzymich połaciach łąk i lasów. Nieraz zapuszczając się w głąb lasu przypadkiem natykałem się na błądzące jankeskie czujki. Oprócz obozów piechoty, były także wydzielone obozy dla kawalerii i artylerii. Tych pierwszych przybyło ponad 300 koni, a armat naliczono blisko 150! To wszystko tworzyło monumentalną atmosferę wojskowego obozowiska. Jak okiem sięgnąć wszędzie przechadzali się żołnierze w poszarpanych szarych lub granatowych mundurach, w oddali słuchać było odgłosy werbli, śpiewy, chrapliwe okrzyki wydawanych komend, rżenie koni, turkot armat na wyboistych ścieżkach i odgłosy przestreliwanych karabinów. Każdy z nas czuł atmosferę tamtych dni. Wspólnie przygotowaliśmy posiłki, dbaliśmy o broń, ognisko i wysokie morale naszych żołnierzy. Kompania braci, rzucona gdzieś w pensylwańskie lasy czekająca na rozkazy.

Obchodząc obozowiska, poznawałem ludzi w różnych odcieniach mundurów, Konfederatów i Unionistów, wielu z nich rozpoczynało swoją przygodę z rekonstrukcją nawet 40 lat temu. Brodaci, sędziwi weterani, serdeczni i bardzo pomocni. Organizatorzy nie zapomnieli także o tej

nielicznej grupce, którzy 50 lat temu uczestniczyli w okrągłej, setnej rocznicy bitwy, przygotowano dla nich specjalne pamiątkowe medale a przed bitwą oddawano salwy ze 150 dział.



fragment naszej brygady podczas słynnego Ataku Picketta

Bitwa

Podczas całej imprezy stoczyliśmy kilka potyczek decydujących o przebiegu oryginalnej bitwy, choćby ważną dla nas próbę zdobycia Wzgórza Culpa. Poza tym odbyły się walki m.in. na Polu Pszenicy, o Jaskinię Diabła czy słynny Atak Picketta. Swoje starcia mieli także kawalerzyści. Artylerzyści ku przerażeniu okolicznych mieszkańców całymi godzinami prowadzili pojedynki artyleryjskie nad głowami skulonych żołnierzy.

Dzień w dzień, bez względu na pogodę, morderczy upał czy deszcz, stawaliśmy w długich kolumnach marszowych, z pełnymi ładownicami i manierkami, gotowi do walki. Organizatorzy stawali na wysokości zadania by jak najwierniej odtworzyć przebieg poszczególnych starć. I muszę przyznać, że Atak Picketta czy próba zdobycia Małego Okrągłego Szczytu niewiele ustępowały autentycznym, historycznym wydarzeniom. Zdarzało się, że wyruszyliśmy rano, żeby sponiewierani trudami kampanii wrócić przed wieczorem. Wypijaliśmy galony wody a głowy i karki chłodziliśmy lodem.

Podczas walk dym niemiłosiernie gryzł w oczy, a widoczność na wskutek intensywnego ostrzału ograniczała się do 20 metrów. Wśród wszech otaczającego nas dymu słychać było wrzaski dowódców, ich przekleństwa, huk salw i krzyki żołnierzy. Ludzie padali całymi szeregami, prosili o wodę, czołgali się szukając osłony przed morderczym ogniem wroga. Za linią bitewną kurierzy na koniach co rusz dostarczali wyższym rangom oficerom nowe rozkazy z dowództwa. Gdzieś za plecami słyhać było grobowe wystrzały armatnie, których podmuchy co raz przyduszały nas do ziemi i rzucały naszymi sztandarami. Maszerowaliśmy w równych szeregach na umocnione pozycje Jankesów, wykonywaliśmy skomplikowane manewry pułkami liczącymi po kilkaset osób, a przed karabinowymi salwami ukrywaliśmy się w rowach lub gęstych zagajnikach.

Mały Okrągły Szczyt próbowaliśmy zdobyć wielokrotnie. Ponosząc ciężkie starty raz za razem odpierali nasze ataki. Teren był niesprzyjający, w gęstym poszyciu, pod intensywnym ostrzałem musieliśmy brnąć w chaszczach kilkadziesiąt metrów pod górę. Niewiele zostało się z mojego pułku. Ja sam podczas piątej lub szóstej próby zdobycia wzgórza padłem ranny, osunąłem się na drzewo, miałem dość. Pot zalewał mi oczy, lufa karabinu parzyła ręce, a manierka była pusta. Chwilę później Unioniści poprowadzili kontratak na bagnety odpychając moich kamratów. Jakimś cudem uniknąłem dostania się niewoli i mimo wyczerpania przekradłem się do swoich. Dużo minęło czasu zanim złapałem równy oddech.

Ostatniego dnia imprezy wzięliśmy udział w zapierającym dech piersiach Ataku Picketta (*Pickett's Charge*). Wszystkie nasze brygady rozwinęły się w trzy długie, głębokie linie. Przy huraganowym wsparciu naszej artylerii, z rozwiniętymi sztandarami maszerowaliśmy na ufortyfikowane

pozycje żołnierzy Unii. Mimo ciężkich strat i zmęczenia, z naszego regimentu tylko mnie i mojemu przyjacielowi udało się przekroczyć Mur i doprowadzić do walki wręcz. Reszta naszych towarzyszy zalegała na przedpolu, niektórzy zostali „ranni” lub „zabici” a część wycofała się w celu przegrupowania. Mój kamrat padł chwilę później, a mnie ściał z nóg wyrośnięty artylerzysta. Usłyszałem nad sobą:

Come with me... and live!

i ujrzałem masywną sylwetkę pierwszego sierżanta. Zostałem wzięty do niewoli przez podoficera 72-go pułku z Nowego Jorku. Szybko się polubiliśmy i od tamtej pory żywo korespondujemy...



wzi ty do niewoli przez sier anta 72th NYC

„Trupy” z obu stron ścieliły się gęsto, na szczęście jednak, nikt z walk nie wyniósł żadnych poważniejszych obrażeń, nie licząc zadrapań czy siniaków. Po każdym starciu, Niebiescy i Szarzy gratulowali sobie zaangażowania i wyszkolenia, klepali przyjacielsko po plecach i rozchodzili do swoich obozowisk. Po powrocie do namiotów padaliśmy wyczerpani na koce. Godzinę po walce odzyskiwaliśmy siły i znów ożywało obozowe życie. Zaczynały rozbrzmiewać konfederackie pieśni, unosił zapach smażonego jedzenia. Wracały obrazy ostatnich wydarzeń, pojawiały się uśmiechy i pierwsze komentarze. Nadchodził czas na czyszczenie broni, wymianę opinii i przygotowania do kolejnego starcia. Czuliśmy, że w naszych głowach kotłują się emocje, którymi jeszcze przez wiele lat będziemy obdarowywać naszych najbliższych.

Po Bitwie

Nigdy nie zapomnę bardzo wzruszającego momentu kiedy ze łzami w oczach żegnał nas jeden z weteranów z Kentucky. Nie potrafił ukryć emocji, kiedy dowiedział się, że przebyliśmy tyle tysięcy mil, tylko po to, żeby wziąć udział w obchodach rocznicy. Mimo tego, że nie udało nam się zmienić biegu historii, pole bitwy opuszczaliśmy z tarczą. Byliśmy bardziej niż usatysfakcjonowani uczestnictwem w imprezie. Kiedy opadły emocje, dopadło nas potworne zmęczenie. Marzyliśmy o prysznicu, o zrzuceniu ciężkich mundurów i całego tego oporządzenia...